
Słońce powoli zaczęło wychylać się zza horyzontu. Dokładnie tak, jak wczoraj, przedwczoraj i dwa dni wcześniej. Promienie wschodzącego słońca były chyba jedyną rzeczą, która pozostała niezmienną od ostatniego roku. Kto by pomyślał, jak wiele może się zmienić w ciągu zaledwie jednego dnia.

Jak dużo można stracić!?

Franek nie zareagował w żaden sposób na ten piękny widok, mimo że nie było na świecie rzeczy, którą kochałby bardziej niż wschody słońca. Uwielbiał wstawać przed świtem, słuchać śpiewu ptaków i czekać, aż słońce pojawi się na horyzoncie. I nigdy nie znalazł odpowiednich słów na opisanie, jak bardzo kochał obserwować budzący się każdego ranka świat. A było na co patrzeć. Każdy kolejny poranek był sto razy piękniejszy od poprzedniego. Przynajmniej jego zdaniem. Świat ma to do siebie, że lubi zaskakiwać. A jednak każdy, kto znał Franka prędzej spodziewałby się końca świata, niż tego, że ten młody chłopak któregoś dnia może przestać admiringować wschody słońca. Cóż za ironia!

Chociaż obraz budzącej się do świata natury nadal zapierał dech w piersi, Franek nie podziwiał już co rano wschodów słońca. Brakowało mu tego widoku, ale nie mógł się zmusić, żeby jeszcze raz nań spojrzeć. Bał się skierować wzrok w stronę złotych promieni, przypominających mu boleśnie o kimś, kto kiedyś był jego słońcem – nadzieją na kolejny szczęśliwy dzień. Nadal nie potrafił sobie wybaczyć...

Chłodny powiew powietrza wytrącił Franka z zamyślenia. Szybko sięgnął po leżącą obok brązową bluzę. Nieumiejętnie poprawił zmierzwione przez wiatr blond włosy, przeczesując je kilka razy palcami, po czym wstał, otrzepał się sprawnie z ziemi i – rzucając ostatnie spojrzenie na wschód słońca – skierował się w stronę lasu. Nie przeszedł nawet stu metrów, kiedy dostrzegł ją pośród pni drzew. Ubrana w czarne, zabrudzone, dresowe spodnie, czerwony podkoszulek i rozpinaną, czarną bluzę, wyróżniała się znacząco na tle leżących wokół kolorowych, jesiennych liści. Uśmiechnął się lekko. Nie zauważyła go. Była czymś zajęta, zapewne przyrządzaniem czegoś na kształt śniadania. Fabryki nie pracowały już od tygodni. W sklepach na całym świecie brakowało wszystkiego. Żyli w prowizorycznym obozie rozłożonym gdzieś pośrodku niczego, w zupełnie nieznanym lesie, w nieznanym kraju, mierząc się z konsekwencjami kryzysu na

skalę globalną. Zresztą, gotowanie nigdy i tak nie należało do mocnych stron Klary. Ale przynajmniej się starała...

Chłopak, wykorzystując fakt, że przyjaciółka go nie spostrzegła, powolnym krokiem, bezszelestnie skierował się w jej stronę. Rude włosy Klary splecione były w gruby warkocz. Niczego niepodręczając dziewczyna z uśmiechem próbowała przyrządzić coś zjadliwego z pozostałych im jeszcze konserw, które wzięli ze sobą, zanim wyruszyli.

– BOO! – krzyknął blondyn, niespodziewanie chwytając za ramiona swoją towarzyszkę – Co tam gotujesz? – Zaśmiał się, widząc strach na jej twarzy.

– Matko! – Klara z ulgą złapała się za serce – Przysięgam ci, zrobisz tak jeszcze raz i będziesz chodził głodny! – Powiedziała, grożąc mu złapanym naprędce patykiem.

– Doprawdy? – spytał rozbawiony.

– Doprawdy, nic więcej ci nie ugotuję! – odpowiedziała mu w ten sam sposób.

– Może to i lepiej. Rosną moje szanse na przeżycie...

– Aha?! – Klara, w akcie oburzenia, podniosła jedną brew w górę. –

W porządku, od teraz ty będziesz gotował. – Dodała po chwili i udając obrażoną, odwróciła się do niego plecami.

– Wow, nie nie nie, cofam to, co powiedziałem, cofam to wszystko!

– Hmm... – dziewczyna pokiwała głową ze zrezygnowaniem – Za późno.

Przekomarzali się tak co najmniej kilka razy dziennie. Każdy taki dialog tylko pogłębiał przekonanie, że rozumieją się jak nikt, że potrafią się wzajemnie rozbawić, że zawsze mają w sobie wsparcie. Mieć taką osobę w dobie katastrofy – załamania się światowego ładu i porządku – to było na wagę złota.

Klara i Franek znali się już kilka lat, ale dopiero po wypadku zbliżyli się do siebie. On był całkiem sam, ona także. Z jakiegoś powodu pozostawieni przez pokrecony los przy życiu, jako jedyni z całej swojej klasy, odnaleźli się chwilę po wybuchu, sparaliżowani strachem i przerażeni zaistniałą sytuacją.

I – paradoksalnie wtedy – znaleźli najprawdziwszą przyjaźń. Jeżeli można by było szukać plusów tragedii, która doprowadziła do unicestwienia znacznej części społeczeństwa i zniszczenia współczesnej cywilizacji, to do zmniejszenia zanieczyszczenia powietrza czy końca przeludnienia, można dopisać to, że pośród nicości i zgliszczy dwójka młodych ludzi odnalazła swoje przez-naczenie. Noce, gdy Klara płakała przytłoczona skalą zmian, przed którymi postawiło ich życie, noce kiedy Franek płakał ze strachu, że nie da rady stawić czoła nowym wyzwaniom, które stworzyła

globalna katastrofa, wreszcie noce, kiedy obydwójce płakali po tych, których kochali, połączyły ich silniej niż długie lata znajomości.

Już od kilku miesięcy razem maszerowali przez piekło, silniejsi niż kie-dykolwiek wcześniej. Wreszcie ich wędrówka miała dobiec końca. Przekroczyli dawną granicę Niderlandów i z każdym pokonanym kilometrem, z każdym dniem tułaczki byli coraz bliżej grupy przetrwania, zamieszkującej zachodnie tereny nadmorskie. W grupie siła – doskonale o tym wiedzieli. Zdawali sobie sprawę, że jest to jedyny możliwy sposób na przetrwanie. I właśnie dlatego zdecydowali się wyruszyć w tamte strony. Po drodze spotykali innych outsiderów, ale z nikim nie udało się im na dłużej zaprzyjaźnić – każdy napotkany wędrowiec miał własny cel, do którego dążył, więc po kilku dniach spędzonych razem, w końcu przychodził czas rozstania.

Franek często zastanawiał się, ilu z nich faktycznie osiągnęło to, co chciało.

Głęboko wierzył, że każda z napotkanych osób zasłużyła na to, żeby odnaleźć swoje szczęście na nowo w postapokaliptycznej rzeczywistości. Świat był im to winny. Zasługiwali na to. – Myślał, patrząc na śpiącą obok niego dziewczynę. Jej oddech był regularny. Była spokojna. Czuła się bezpiecznie. Chłopak przyglądał się jej w ciszy. Była piękna. Idealna. Tuż przy nim. Miał wszystko, czego tylko mógłby chcieć. Osiągnął to, do czego dążył kilka lat temu, kiedy ten przeklęty, nieudany eksperyment spowodował masę wybuchów, zabijając miliony ludzi na całym świecie. Uśmiechnął się lekko do siebie. Posłał jeszcze jedno spojrzenie na leżącą obok dziewczynę. Długie brązowe włosy zakrywały jej część twarzy. Delikatnie odgarnął kosmyki na bok i, starając się zachować ciszę, wstał z łóżka, kierując się na werandę przed domem, który zaadaptowali na własne potrzeby. Słońce właśnie wschodziło. Ciepłe smugi światła zaczęły powoli wyłaniać się zza horyzontu. Rozejrzał się po okolicy: kilkadziesiąt drewnianych domków, małych sklepików, pastwisko, sady, młyn i nawet coś na kształt szpitala. Ich grupa przetrwania całkiem nieźle się rozwinęła. Franek wiedział, że istnieje kilka innych tego typu wiosek na świecie. Ziemia miała przed sobą nową erę. Głęboko w to wierzył.

Tak bardzo kochał ten widok. Teraz jednak za każdym razem, gdy wstanie na tyle wcześnie, żeby zobaczyć choćby odblask wschodzącego słońca, ma ochotę zabarykadować się w sypialni. Już się nie uśmiecha.

Pamięta dokładnie ten dzień. Jego umysł jest w stanie odtworzyć go sekunda po sekundzie, niczym klatki w filmie, jedna po drugiej... Jej zielone, pełne bezradności oczy... Smutek... Niedowierzanie... Poczucie zdrady... Wcale się jej nie dziwił. Sam się

nienawidził. Prawdopodobnie nienawidził się bardziej, niż ona kiedykolwiek byłaby w stanie. Wiedział, że na to zasługuje.

To on powinien był zginąć tego dnia.

Pamięta pasma jej rudych włosów zlepione krwią i potem, rozcięty łuk brwiowy i drżące wargi. Pamięta błagalny wzrok, kiedy próbowała wydostać się spod pnia martwego drzewa. Zostawił ją tam. Zostawił ją pośrodku płonącego lasu. Pamięta, jak oddalał się od niej. Najpierw powoli, niepewnie. Potem coraz szybciej. Później po prostu odwrócił się i biegł przed siebie. Biegł z całych sił... Jak najszybciej...

Musiał przeżyć. Może był tchórzem i zdrajcą, ale jakiś głos w jego głowie – może instynkt przetrwania – kazał mu biec. Więc pobiegł. Przecież przeżył tak wiele – chyba nie po to, żeby teraz umrzeć w pożarze, spowodowanym jakimś niewybuchem z początku kryzysu. Czyż nie to powtarzała mu tak często Klara? Że zasługuje na lepsze, nowe życie. Że jest wart wszystkiego, co najlepsze.

Że musi żyć! Więc wykorzystał swoją szansę na przeżycie. I niczego w życiu tak bardzo nie żałował. Lepiej byłoby, gdyby wtedy zginął, jeśli nie zamiast niej, to chociaż z nią. Ale był tchórzem. Był, niestety, wciąż jak najbardziej żywym tchórzem.

Spojrzał smutno na w pełni odsłoniętą tarczę słoneczną. Od katastrofy minęło już pięć lat. Pięć lat temu nieudany eksperyment naukowców z całego świata spowodował serię niekontrolowanych wybuchów na całym globie, których konsekwencją stał się upadek cywilizacji. Znany dotąd świat przestał istnieć. Ale po końcu nastął nowy początek. Znowu wszystko miało być dobrze. Miał zapanować ład i spokój. Dzięki ciężkiej pracy tych, którzy przeżyli.

Franek był jednym z nich, ale wizja przyszłości nie budziła w nim radości – po co mu idealny świat, kiedy jedyne czego chciał, to móc spojrzeć na wschód słońca w ten sam sposób, w który patrzył na niego kiedyś. Z nią.